

Agnieszka Kołakowska: Zmierzch Europy a rynek

W europejskiej wojnie kultur ideologia antyrynkowa i ideologia multikulturalna, ideologia „tolerancji” i „różnorodności”, nakazująca pobłażliwość wobec roszczeń muzułmanów, stoją po tej samej stronie przepaści

W europejskiej wojnie kultur ideologia antyrynkowa i ideologia multikulturalna, ideologia „tolerancji” i „różnorodności”, nakazująca pobłażliwość wobec roszczeń muzułmanów, stoją po tej samej stronie przepaści

Minął niedawno tradycyjny zimowy Festiwal Wielowyznaniowej Różnorodności. W Wielkiej Brytanii władze lokalne w wielu miejscach zakazały wystawiania szopek, publicznego śpiewania kolęd i wszelkich chrześcijańskich aluzji. Słowo *Christmas* stało się tabu; nawet prezydent Bush uległ poprawności politycznej i unikał go w swoich kartkach świątecznych. Mamy „uczcić różnorodność”, życząc sobie dobrych „świąt zimowej pory”, a w szkołach na koniec roku wystawiać przedstawienia „wielowyznaniowe” i „wielokulturowe”.

Biskupi Kościoła anglikańskiego ochoczo przytakują. Było to jednak do przewidzenia, skoro przeciętny biskup anglikański nie wierzy w Boga, lecz w wielowyznaniowy multikulturalizm i walkę z amerykańskim

imperializmem. Książę Walii, który kiedyś będzie głową państwa i Kościoła anglikańskiego, już parę lat temu ogłosił, przypuszczalnie w imię „tolerancji” i multikulturalizmu, że chciałby być oficjalnie obrońcą „wiar”, nie zaś – jak obecnie można przeczytać na monetach królestwa – wiary. Parę miesięcy temu jakaś szkoła wyrzuciła ucznia za noszenie krzyżyka, a sztuka Marlowe’a o Tamerlanie, wystawiana w Londynie, została „oczyszczona” z antyislamskich treści. Tak, brzmi to niewiarygodnie, ale teatr uległ presji „wspólnoty muzułmańskiej” i zgodził się na ocenzurowanie 400-letniej sztuki, ponieważ Tamerlan nieładnie się w niej wyraża o Mahomecie, a w jednej scenie pali Koran. Można też wspomnieć – trudno się oprzeć pokusie skorzystania z okazji – o zakazie przywrócenia do angielskiego parku narodowego odrestaurowanej przedwojennej rzeźby dzika, ponieważ wieprz w parku mógłby urazić korzystających z niego (parku, nie wieprza) muzułmanów; byłby to zatem wieprz rasistowski, do czego przecież dopuścić nie można. (Niewykluczone, że niedługo w ogóle nie będzie można dopuścić do pokazywania wieprza, w jakiegokolwiek formie, publicznie ani prywatnie). Z kolei w Danii karykaturzyści ukrywają się ze strachu przed odwetem islamistów, a gazeta, w której opublikowali rysunki Mahometa, uległa i wylewnie przeprosiła wszystkich, którzy mogli się poczuć urażeni.

Z drugiej (ale równie surrealistycznej) strony, południowy niemiecki land Badenia-Wirtembergia postanowił wprowadzić egzamin lojalności dla muzułmanów ubiegających się o obywatelstwo niemieckie. Jedno z pytań brzmi: „Jak byś zareagował, gdyby twój syn ci powiedział, że jest homoseksualistą?”. Wolno przypuszczać, że odpowiedź: „Natychmiast bym go zabił” byłaby uznana za odpowiedź niesłuszną, i to oczywiście cieszy; ale wolno też podejrzewać, że odpowiedź: „Ach, byłbym zachwycony” byłaby uznana za odpowiedź idealną, co może cieszyć trochę mniej. Są też pytania na temat równości kobiet (m. in. czy

kobieta powinna być posłuszna mężowi i czy w przeciwnym wypadku mąż ma prawo ją bić) – pytania jak najsłuszniejsze, ale w tym kontekście uwikłane w wielopiętrowe kłębowisko sprzeczności. Holandia podobno rozważa podobny egzamin. Żeby było zabawniej, niemiecki egzamin został natychmiast potępiony przez przedstawicieli muzułmańskich wspólnot jako „islamofobia” i „antymuzułmański rasizm”.

„Islamofobia” jest definiowana przez islamskie ugrupowania jako (cytuje m. in. z internetowego *islamophobia-watch*, ale tę i podobne definicje można znaleźć w tuzinach internetowych „raportów” i antyrasistowskich „komisji”, oficjalnych i półoficjalnych, brytyjskich, amerykańskich i innych) „ideologia, za pomocą której się chce usprawiedliwić ‘wojnę z terroryzmem’, kapitalizm, globalizację i imperializm Stanów Zjednoczonych”. Wojujący islam i poprawność polityczna pięknie się tu zbiegają. Ideologia „antyrasizmu” i „multikulturalizmu”, z natury rzeczy antychrześcijańska i antyzachodnia, i uległość wobec żądań „praw” dla muzułmanów, kotłują się w tym samym worku poprawności politycznej. Towarzyszy im tam jeszcze jednego rodzaju poprawność polityczna: antyglobalistyczna, antywołnorynkowa, antyamerykańska. Dalej jednak pojawiają się problemy: feminizm, homoseksualizm, równość kobiet i aborcja nie bardzo już pasują. Aż się żal robi ideologów poprawności politycznej, walczących jednocześnie na frontach multikulturalizmu, praw mniejszości, feminizmu i praw homoseksualistów. Będzie to dla nich twardy orzech do zgryzienia.

Wewnętrzne sprzeczności ich programów – tolerancja dla nietolerancyjnych, ale niezachodnich; potępienie tradycji, religii i absolutnych wartości, ale tylko chrześcijańskich – zawsze były

jaskrawe, jak zresztą sprzeczność wszystkich relatywizmów, ale w miarę rosnącej presji żądań islamistów staną się coraz bardziej widoczne w praktyce i trudno już będzie je ignorować. Trudna do ignorowania powinna też rychło się stać oczywistość, że jeśli muzułmanom uda się zrobić z Europy obszar prawa islamskiego, o żadnym multikulturalizmie ani antyrasizmie nie będzie już mowy. Kolejną piękną ironią jest fakt, że z jednej strony poprawność polityczna nakazuje potępienie i cenzurowanie wszystkiego, co w oczach muzułmanów „obraża” ich religię, lecz z drugiej strony wolno chyba twierdzić, że zmuszanie muzułmanina do uznania praw homoseksualistów stanowi dość poważną obrazę jego religii.

We Francji zaś – wiemy, co się ostatnio działo, i prognozy są jak najgorsze. Wprawdzie Alain *Finkielkraut* trochę przesadzał, twierdząc, że zamieszki miały głównie podłoże muzułmańskie: były, owszem, islamskie treści, lecz pojawiły się dość późno, narzucone przez islamistyczne kręgi, które chciały te zamieszki wykorzystać dla swoich celów. We Francji, paradoksalnie, konsekwentne przestrzeganie zasady separacji Kościoła od państwa pozwoliło, jak dotąd, uniknąć lawiny muzułmańskich rewindykacji. Zakaz noszenia chust w szkołach był pod tym względem dobrym posunięciem, chroniącym młode muzułmanki przed presją rodziny. Taki przynajmniej był cel. Ale na dłuższą metę nie będzie to wystarczające; jest to próba zatrzymania powodzi chusteczką do nosa. Integryzm muzułmański może nie zawładnął jeszcze przedmieściami, ale postępuje miarowo, krzewiony przez rozmaite organizacje islamistyczne, i następne rozruchy rzeczywiście staną się intifadą francuskich muzułmanów. Będzie to cena za politykę pobłażliwości, jaką Francja od lat prowadzi wobec przedmieść: politycznie poprawna ideologia, która nie dopuszcza do potępienia barbarzyństwa i bezprawia, powtarzając zamiast tego pobożne frazesy o „ofiarach wykluczenia”, rasizmie i dyskryminacji, prędzej czy później

przeobrazi się – proces ten już się zaczął i przy okazji zamieszek stał się bardziej widoczny – w ideologię multikulturalizmu. Będzie to również cena za odmowę przeprowadzenia reform gospodarczych, które mogłyby zmniejszyć stopień bezrobocia.

Widmo Eurabii, wojna kultur, koniec cywilizacji, kryzys demokracji, kryzys liberalizmu, neoliberalizm, paleoliberalizm i antyliberalizm, globalizacja, rynek całkiem wolny i nieskrępowany, społeczny, trochę społeczny albo zupełnie niespołeczny, społeczeństwo multikulturalne, „różnorodne”, otwarte, półotwarte, przymknięte albo zamknięte na kłódkę, fundamentalizm islamski, fundamentalizm chrześcijański, nacjonalizm, ksenofobia, „islamofobia”, antyrasizm, segregacja, barbarzyńcy ze Wschodu, barbarzyńcy z Zachodu – wszystkie te rzeczy są ze sobą powiązane. Na temat stanu Europy i źródeł zagrożeń roi się od diagnoz, analiz, ocen, zaleceń, potępień i przepowiedni. Niezmiernie trudno odkryć w tym gąszczu wyraźną drogę. Za kilkadziesiąt lat nasza obecna sytuacja zapewne wyda się historykom całkowicie przejrzysta, logiczny rozwój wydarzeń całkowicie oczywisty. Dla nas, tkwiących w tym zamęciu, analiza jest trudniejsza.

Trudno zidentyfikować coś jako „kryzys” w chwili, gdy właśnie następuje; niektórzy historycy powiedzieliby nawet, że jest to możliwe tylko z perspektywy przyszłości. Panuje jednak powszechne poczucie, że jakiś kryzys w Europie się rozgrywa, choć można spierać się o jego naturę, rozmiary i przyczyny. I gdy staramy się zrozumieć, co się dzieje z Europą i dlaczego się tak dzieje, ogarnąć całe złożone kłębowisko ideologii, procesów i zmian, które do tego kryzysu doprowadziły, wyłaniają się trzy główne czynniki, posplatane ze sobą i w złożony sposób przyczynowo powiązane: bezprecedensowa liczba

muzułmanów, żyjących na stałe w zachodnich krajach, tak zwana „wojna kultur”, tocząca się nie tylko w Europie, lecz także w Stanach Zjednoczonych oraz kryzys tożsamości europejskiej.

O pierwszej z tych rzeczy rzadko jest mowa, a jest to rzecz niezmiernie istotna: muzułmańska diaspora jest całkiem nowym, dwudziestowiecznym zjawiskiem. Muzułmanie zaczęli wyjeżdżać za granicę bardzo późno, a osiedlać się tam jeszcze później; pierwsze stałe poselstwa imperium otomańskiego powstały w Europie dopiero pod koniec XVIII wieku. Przez wiele lat podróże do krajów niewiernych były muzułmanom zabronione i islamskie prawa, czy zalecenia, dotyczące takich podróży pozostały takie, jakie były, niedopasowane do współczesnego życia. Islamscy prawnicy długo debatowali[1], czy muzułmanin może żyć w kraju niewiernych, i na ogół byli zdania, że nie. A jeśli już życie wśród niewiernych jest konieczne, należy wykorzystywać prawa i obyczaje niewiernych, by ich jak najskuteczniej zwalczać. Od początku islamu w VII wieku celem muzułmanów było podbicie reszty świata, zwiększanie obszaru, w którym panuje islam i prawo szariatu i nawracanie ludności krajów niewiernych albo redukcja jej do stanu *dhimmi*. Zdaje się, że z punktu widzenia prawa islamskiego niewiele się pod tym względem zmieniło. Niektórzy muzułmanie na Zachodzie mówią otwarcie o tym, że ich celem jest islamizacja; inni mówią to tylko w meczetach i na islamskich zgromadzeniach.

Europejscy (i amerykańscy) politycy lubią – i muszą – przypominać o istnieniu „umiarkowanych” muzułmanów; ale to, co ci „umiarkowani” mówią do swoich ludzi – zachęcając do przejęcia kraju, w którym żyją i stworzenia w nim państwa islamskiego – bardzo się różni od tego, co mówią publicznie. Według sondażu przeprowadzonego w Anglii w 2004

roku 60% brytyjskich muzułmanów chętnie by widziało wprowadzenie prawa szariatu w Anglii. Reszta zaś, nawet gdyby nie wzbudzało to w ich sercach należytej radości, na pewno by nie protestowała: lojalność muzułmanów wobec muzułmańskiej wspólnoty jest niezwykle silna, o czym już wiele razy – gdy chodziło na przykład o chronienie podejrzanych terrorystów – mieliśmy się okazję przekonać.

Pamiętajmy – był to rok 1989 – o rozruchach muzułmanów w angielskim mieście Bradford, gdy palili na stosie książkę Rushdiego *Wersety szatańskie*. Była to jedna z pierwszych spektakularnych demonstracji siły. Wtedy też Chomejni nałożył na Rushdiego fatwę. Według prawa islamskiego karą za obrazę Mahometa albo Koranu, a także za odejście od islamu, jest śmierć. Islamiści już wtedy otwarcie mówili, że ich celem jest rozszerzenie sfery prawa szariatu na kraje, w których żyją. Nawet wtedy nikt nie odważył się zasugerować, że jeśli chcą żyć pod prawem islamskim, mogą wrócić do jednego z krajów, w których ono obowiązuje. Być może to był moment, w którym nabrali pewności siebie. Tak sugeruje, przypominając o tych dawniejszych, często już zapomnianych wydarzeniach, arabista Daniel Pipes w jednym ze swoich artykułów[2]. W każdym razie od tego momentu presja wyraźnie wzrosła; zaczęły się coraz to dalej idące próby cenzury i zduszenia wszelkiej krytyki islamu, zastraszanie i groźby, żądania publicznych pieniędzy na islamskie szkoły, na meczety (które Francja też chce budować, w złudnej nadziei, że tym sposobem uda jej się utrzymać integrystów pod kontrolą), wymuszanie specjalnych praw i przywilejów dla pracowników muzułmańskich. W Stanach Zjednoczonych muzułmanie na razie domagają się specjalnych praw i przywilejów w pracy, w szkolnictwie i w sferze publicznej, ale możliwe, że w pewnym momencie zaczną żądać wprowadzenia islamskiego prawa wszędzie: mogą na przykład żądać kryminalizacji cudzołóstwa, picia alkoholu i jedzenia wieprzowiny, a także starać się zapisać w

formie prawa przywileje dla muzułmanów, przybliżając tym samym pożądane przez nich zredukowanie reszty ludności do stanu *dhimmi*. Takie próby już dawno się zaczęły; zabranianie kolęd czy pomników dzików są wśród najświeższych przykładów. Mogą wydawać się błahe czy banalne, ale są bardzo istotne. Jeszcze jedną ironią jest to, że czasem inicjatywa w takich wypadkach nie płynie wcale od muzułmanów, lecz od nadgorliwych politycznie poprawnych władz lokalnych.

Pamiętajmy też o Afganistanie, gdzie Talibowie wyburzyli buddyjskie świątynie. I o Pakistanie, gdzie muzułmanie palą kościoły. Nie ma najmniejszych powodów, by sądzić, że palenie ksiązek, destrukcja kościołów i niszczenie dzieł sztuki były czymś wyjątkowym. Łudzimy się myśląc, że muzułmanie mogą pozostać wierni islamowi i żyć z nami w zgodzie w zachodnim, demokratycznym, liberalnym społeczeństwie, opartym na judeochrześcijańskich wartościach. Nie ma czegoś takiego, jak „liberalny islam”; prawo islamu jest jedno i obejmuje wszystkie sfery życia, religijne i świeckie. Państwo islamskie jest państwem teokratycznym z definicji. Powtórzmy: dla muzułmanina karą za odejście od islamu jest śmierć. Śmierć jest także karą za homoseksualizm i za cudzołóstwo. Wymaganie od muzułmanów lojalności wobec liberalno-lewicowej ideologii jest wymaganie od nich porzucenia islamu. Jest tu sprzeczność, której nie da się pokonać. Muzułmanie wykorzystują mnożące się w liberalnych demokracjach prawa antydyskryminacyjne, ale pod rządami islamu takich praw nie ma i być nie może. Czy jest to wojna cywilizacji? Oczywiście, że tak.

Życie w demokracji świetnie uczy, jak demokrację wykorzystywać do zwalczania jej samej. Liberalne demokracje ulegają – wskutek ideologii poprawności politycznej, a także ze strachu – presji interesów

zbiorowych i mniejszości, domagających się uprawnień i przywilejów. W Ameryce można się posługiwać konstytucją, która gwarantuje wolność religii.

O zjawisku zwanym wojną kultur także w Europie wiele ostatnio się mówi; jest to drugi z głównych czynników odgrywających rolę w obecnym europejskim stanie kryzysu. Lecz jest to zjawisko tak szerokie, obejmujące tyle dziedzin, że trudno je jako osobny czynnik wyodrębnić. Wojna kultur jest powiązana z wszystkimi nowymi ideologiami, o których była mowa powyżej; jest konfliktem – coraz ostrzejszym i coraz wyraźniejszym – między odmiennymi wizjami wszystkich prawie sfer życia: polityki, ekonomii, pojęcia demokracji, moralności, roli religii w sferze publicznej, kształtu liberalnego społeczeństwa, roli rządu, praw indywidualnych, interesów grupowych, szkolnictwa, nauki, rodziny, wartości. Zasadniczo chodzi jednak o podział moralny: o „przepaść etyczną”, jak to ujmuje Gertrude Himmelfarb w swojej książce na temat wojny kultur w Ameryce (już dobre kilka lat temu wydanej, lecz nadal bardzo aktualnej),[3] jaka dzieli tych, co wierzą w tradycyjną moralność i tradycyjne wartości, i tych – liberałów w amerykańskim znaczeniu – którzy je odrzucają. I tu znów wracamy do sprawy poprawności politycznej. Jest to bowiem, i w Europie, i w Stanach Zjednoczonych, konflikt między ideologią poprawności politycznej –ideologią „liberalną” (w sensie amerykańskim), silnie antyreligijną, przedstawiającą się jako tolerancyjna, lecz będącą w istocie silnie antyliberalną i nietolerancyjną – a nurtem konserwatywnym.

Ta wojna jest powiązana (a właściwie w dużej mierze się pokrywa) z inną – filozoficzną, toczącą się na wydziałach humanistyki na uniwersytetach i w życiu intelektualnym: wojną między tradycyjnym a relatywistycznym, postmodernistycznym, dekonstrukcyjnym

podejściem do prawdy, do wartości i cnót intelektualnych, do nauczania, do idei uniwersytetu. Jest to część tej samej wojny, i ważne mi się wydaje wspomnieć o tym, by uświadomić sobie zakres i skalę konfliktu. Relatywizm w życiu intelektualnym nie jest czymś oderwanym od świata, czymś, co można wkładać i zdejmować jak rękawiczki, bez powiązań z resztą życia; relatywizm co do wartości jest także – wydaje się to oczywiste – postawą moralną, z której płyną rozmaite konsekwencje.

Nie przypadkiem przytłaczająca większość wykładowców uniwersyteckich i intelektualistów w Ameryce i w Europie (a notorycznie we Francji) znajduje się po jednej i tej samej – lewicowej i relatywistycznej – stronie wojny kultur. (Niezmiernie trudno znaleźć konserwatywnego postmodernistę; być może jest to stworzenie nie tylko nieistniejące, lecz niemożliwe, pojęciowo sprzeczne, jak relatywista, który wierzy w absolutne wartości). To też jest konflikt moralny; tu też jest przepaść etyczna. Przepaść między relatywistą, który przeczy istnieniu prawdy, a kimś, kto uznaje absolutne wartości, jest przepaścią moralną, nie czysto intelektualną, i ściśle powiązaną z postawami w innych sferach życia – z poglądami politycznymi i moralnymi, a także ekonomicznymi.

Dla tych, co znajdują się po „liberalnej”, relatywistycznej, poprawnej politycznie stronie tej przepaści, każdy chrześcijanin jest „fundamentalistą”, człowiekiem prymitywnym i zacofanym. Fundamentalistą lub po prostu „faszystą” jest też każdy, kto odważy się zakwestionować tezę, że konstytucja Stanów Zjednoczonych gwarantuje prawo do nieograniczonej aborcji, do przywilejów płynących z pozytywnej dyskryminacji rasowej, do małżeństw homoseksualnych itp. Jest nim też ten, kto dopuszcza myśl o

jakiegokolwiek rodzaju lekcjach religii – polegających, na przykład, na czytaniu Biblii – w szkołach. Także ten, kto przeczy, by pojęcia prawdy, dobra i zła były jedynie „społeczną konstrukcją”. Największą niepoprawnością jest wypowiedzenie moralnego sądu, największą wartością (mimo odrzucenia wartości) – nieosądzająca „tolerancja” wszystkiego (z wyjątkiem ludzi religijnych i tych, którzy wierzą w absolutne wartości: w stosunku do nich obowiązuje nietolerancja). Nie ma dla nich różnicy na przykład między kimś, kto chciałby zakazać aborcji, a kimś (kimś, kogo nie trzeba długo szukać: kimś takim, powiedzmy, jak ja), kto nie chce jej zakazać, lecz uważa ją za rzecz złą i niesprowadzalną do kwestii wolnego „wyboru” kobiety; między kimś (też kimś takim, jak na przykład ja), kto chętnie by widział Biblię jako obowiązkowy przedmiot w szkołach, czytaną nie tylko w ramach nauki o religii, lecz także jako tekst literacki – tekst podstawowy dla naszej cywilizacji i dla rozumienia zachodniej literatury i sztuki – a kimś, kto chciałby narzucić w szkołach obowiązkowe lekcje religii, prowadzone przez księży i sprowadzające się do uczenia katechizmu; między kimś, kto nie uważa, że wszystkie kultury są równe, kto ceni zachodnią cywilizację i tradycyjne judeochrześcijańskie wartości i uważa, że trzeba ich bronić, a kimś, kto chwali niewolnictwo i uważa inne rasy za niższe. Nie dopuszczają oni, innymi słowy, żadnych odcieni w poglądach, które uważają za niepoprawne; wszelkie rodzaje konserwatyzmu moralnego są utożsamiane ze skrajną prawicą i na ogół nazywane „fasyzmem”.

Nieoczywisty na pierwszy rzut oka może się wydać związek między tymi rzeczami a główną kwestią, od której tu zaczęliśmy; może nie być od razu jasne, co ma wspólnego postmodernizm albo spór o nadużywanie przez sądy klauzuli o „równej ochronie” („Equal Protection Clause”) w Czternastej Poprawce do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, albo skrajny feminizm i walka o prawa

homoseksualistów z kryzysem w Europie i wojną o cywilizację zachodnią. Ale wszystkie te rzeczy są powiązane; są częścią jednej i tej samej wojny kultur, wyrażają ten sam podział ideologiczny, ten sam konflikt między dwiema wizjami świata. A jest to konflikt, który jak najbardziej wpływa na kwestię islamizacji Europy, ponieważ politycznie poprawna strona tej przepaści nakazuje także multikulturalizm i wszystko, co multikulturalizm za sobą pociąga: z jednej strony nienawiść do Zachodu i do judeochrześcijańskich wartości, z drugiej zaś – poparcie dla roszczeń wszelkich „mniejszości”, w tym muzułmańskich (choć muzułmanie długo mniejszością nie pozostaną).

I tu znów powraca ta sama ironia: że ci sami, co tak zaciekle walczą przeciwko religii, a nawet lekturze Biblii, w szkołach, jednocześnie broniąc swobód i „uprawnień” płynących z liberalnej demokracji, popierają „prawo” muzułmanów do własnych szkół, fundowanych z publicznych pieniędzy, w których dzieci czytają Koran i uczą się pogardy dla Zachodu i liberalnych demokracji, i gdzie często wpaja im się nienawiść do tych rzeczy, wraz z nienawiścią do Żydów. I druga, dobrze już znana ironia, o której jednak warto przypomnieć: że ci sami, którzy chcą rozszerzyć zakres indywidualnych i grupowych uprawnień, by obejmowały m.in. aborcję, prawa dla homoseksualistów i pozytywną dyskryminację rasową, jednocześnie chcą coraz więcej rzeczy cenzurować i prawnie zakazywać, domagając się coraz większej ingerencji państwa w życie publiczne i prywatne

Ostatnio we Francji, a także w Anglii, wszedł w modę nowy termin „neoreakcyjniści”. Zdaje się, że w ten sposób określa się tych, co walczą z „neoprogresywistami”. „Neoprogresywiści” z kolei – nie jestem pewna, jak się różnią od odmiany paleo-, ale być może określa się ich

tak dlatego, że walczą z neokonserwatystami. O nich już wiemy; cudzysłowu nie potrzebują. Od jakiegoś czasu mamy też „neoliberałów”, chyba głównie we Francji. Nie wiem, czym mają się oni różnić od zwyczajnych (klasycznych, ekonomicznych) liberałów. Być może jest to słowo silniejsze, dobitniej brzmiące, mające podkreślać ich nikczemność i kojarzyć się z tym najgorszym, co istnieje pod słońcem – z neokonserwatystami. I rzeczywiście wydaje się, że tylko lewica tym słowem się posługuje i że jest to głównie wyraz potępienia. Jedno zdaje się pewne: mamy obecnie więcej terminów mających określać jakąś ideologię niż ideologii. Nie jest to chyba przypadek: świadczy to o tym, że konflikt, o którym cały czas jest tu mowa, to znaczy wojna kultur, zaostrzył się; i panuje chyba powszechne poczucie, że wszedł w kulminacyjną fazę, choć nie wiemy, i z natury rzeczy nie możemy wiedzieć, co miałyby to znaczyć.

Wydaje się, na początku XXI wieku, że toczy się wojna wszystkich ze wszystkimi. Jednocześnie pejzaż polityczny i ideowy bardzo się zmienia. Przesuwają się dawne podziały, tworzą się nowe – czasem zaskakujące – sojusze, które trudno nam jeszcze całkiem ogarnąć. Wyłaniają się na przykład „progresywiści antypostępowi”, to znaczy nieufni wobec nowoczesności (można by powiedzieć, że mają oni naturalny wspólny grunt z islamskimi integrystami, gdyby nie to, że rzadko się widuje integrystę muzułmańskiego bez telefonu komórkowego).

Wspólny grunt znajdują też antywolnorynkowi konserwatyści, ekolodzy, antyglobaliści i komunitaryści. Już jakiś czas temu zauważyliśmy, że stary, prosty, wygodny podział na lewicę i prawicę stał się mało pomocny, nie pasuje już do tego nowego, złożonego pejzażu. Niektórzy neokonserwatyści tradycyjnych konserwatystów nie

cierpią, i na odwrót. Niektóre kwestie – na przykład wojna w Iraku – tworzą linię podziału niezależną od wszystkich innych. Lecz wojna kultur – walka podstawowa i najważniejsza, być może o przetrwanie zachodniej cywilizacji – zmusza nas czasem do niewygodnych i nienaturalnych sojuszy, narzucając własne, prostsze podziały, w których można nadal rozpoznać zarysy dawnego podziału na lewicę i prawicę.

Z jednej więc strony – konserwatyści i reakcyjniści, neo- i paleo-, liberałowie (ekonomiczni) neo- i paleo-, ludzie religijni, fundamentaliści chrześcijańscy, tradycjoniści w sferze moralnej; z drugiej – antyglobaliści, antykapitaliści, multikulturaliści, ekolodzy, komunitaryści, antynacjoniści, ideolodzy „antyrasizmu” i przedstawiciele wszelkich innych rodzajów anty-izmów (z wyjątkiem antykomunizmu). Wśród rzeczy, które łączą wielu z tych ostatnich – w sposób ewidentny antykapitalistów i antyglobalistów, lecz także ogromną większość ekologów i bardzo wielu z pozostałych postępowych -istów i anty-istów – najważniejszą jest chyba niechęć, czy wręcz nienawiść, do wolnego rynku. Tu też związek z główną kwestią może się wydać nieoczywisty; co ma wspólnego niechęć do wolnego rynku z zajmującym nas obecnie problemem islamizacji Europy? Lecz powiązanie jest, i to ważne, a nawet kluczowe.

W europejskiej wojnie kultur ideologia antyrynkowa i ideologia multikulturalna, ideologia „tolerancji” i „różnorodności”, nakazująca pobłażliwość wobec roszczeń muzułmanów, stoją po tej samej stronie przepaści; w tak wielu punktach się spotykają, w tak wielkiej mierze ideologicznie się pokrywają, że nie można tej korelacji uznać za przypadkową. Obie też mają zwyczaj posługiwania się przymiotnikiem „amerykański” w połączeniu z rzeczownikiem „imperializm”; jest to

wspólny grunt bardzo szeroki i bardzo mocny. Obie mają też w sposób oczywisty marksistowskie czy marksizujące zaplecze i płyną – być może to jest najważniejsze – z tego samego źródła: z niechęci do indywidualnej odpowiedzialności i, co za tym idzie, do wolności; z wiary nie w równość szans, lecz w równość wyników, która powinna być narzucana siłą przez państwo. I między innymi w tym punkcie zbiega się wojna kultur z trzecim czynnikiem, o którym była mowa powyżej – z kryzysem tożsamości europejskiej.

Wydaje się, że główna cecha, określająca Unię Europejską, jest negatywna: antyamerykanizm. Ale czym Europa ma być, w jaki pozytywny sposób ma się określać – tego nikt nie wie. Poza tym, że ma być ogólnie postępową. Według przedwcześnie zmarłej, ale bynajmniej jeszcze nie pogrzebanej, konstytucji europejskiej, Europa miała być multikulturalna i tolerancyjna, z „rynkiem społecznym”, zapewniającym jednocześnie wysoką konkurencję, pełne zatrudnienie i „postęp społeczny”. Ale skoro, po pierwsze, nikt nie wie, czym właściwie jest rynek społeczny, a po drugie, postulaty te są nawzajem sprzeczne, niewiele z tego wszystkiego wynika. Jednocześnie Komisja Europejska próbuje zmuszać kraje europejskie do pewnych wolnorynkowych reform, co wywołuje niezadowolenie we Francji i prowadzi do jeszcze większej konfuzji co do celów i natury Unii. Europejczycy spierają się, czy Turcja ma przystąpić do Unii, ale debata jest utrudniona przez brak jasnych kryteriów i jasnych wartości. W konstytucji europejskiej o wartościach (tym bardziej o wartościach judeochrześcijańskich) w ogóle nie było mowy. Nic dziwnego, że i zwolennicy, i przeciwnicy przystąpienia Turcji mają wyraźne trudności z uzasadnieniem swoich poglądów, i że wszystkim jakby brak przekonania; trudno ustalić, co przemawia za, a co przeciw, jeśli nie mamy pojęcia, czym jest ani czym być powinna ta Europa, o której mówimy.

Ideologia antykapitalistyczna, zamiast zniknąć po upadku komunizmu, zdaje się w Europie odżywać. W ciągu ostatnich paru dziesięcioleci coraz więcej słyszy się kazań o nikczemnościach kapitalizmu i „dzikim” liberalizmie ekonomicznym. U podłoża tej ideologii leży żywiołowa niechęć do wolnego rynku i kategoryczna odmowa przyznania, czy nawet dopuszczenia możliwości, że wolny rynek może też krzewić pewne cnoty, tworzyć bogactwo, wzmacniać gospodarkę i polepszać los wszystkich, w tym najbiedniejszych. W tej ideologii świat dzieli się na biednych i bogatych, prześladowanych i prześladujących, i nie ma żadnego naturalnego sposobu obalenia tych podziałów, trzeba je więc obalić siłą. Nie wolno też dopuścić myśli, że biedni i prześladowani są zdolni do racjonalnego działania we własnym interesie. Nie sposób zatem dopuścić myśli, że wolny rynek może im pomóc. Ideologia ta, infantylizująca i pełna pogardy, idzie w parze z przekonaniem, że jedynym autorytetem ma być państwo, do którego obowiązków należy prawne regulowanie wszystkiego, co tylko się da.

Daleko idący interwencjonizm państwowy, rosnący ciężar państwa opiekuńczego, regulowanie przez nie coraz to większych obszarów życia i przejmowanie przez nie coraz więcej odpowiedzialności może też być jedną z przyczyn ogólnej moralnej degeneracji, jaką wszędzie wokół widzimy – włącznie z wzrostem przestępczości i zjawiskami takimi, jak niedawne francuskie zamieszki. Gdy państwo reguluje i przejmuje odpowiedzialność za całe nasze życie, łatwo się na nie całkowicie zdać, utracić poczucie odpowiedzialności za własny los, poczucie winy za własne niepowodzenia, zdolność do samodzielnego moralnego życia. Gdy do tego dochodzi „postępowy” system edukacyjny, indoktrynacja poprawnością polityczną w szkołach, nieograniczona pobłażliwość, odmowa – ze strony państwa, nauczycieli i rodziców – uczenia odpowiedzialności i uznania jakichkolwiek

autorytetów i wartości, nie ma już podstaw, na których samodzielne i odpowiedzialne życie mogłoby się opierać. Przez to też nie umiemy sobie poradzić z islamskim zagrożeniem: nasze społeczeństwo, właśnie wskutek utraty wiary we wszelkie wartości, utraty pewności siebie, odmowy krzewienia tradycyjnych cnót, jest osłabione moralnie. I jeśli brak nam nawet moralnej woli, by skutecznie walczyć z terroryzmem, to jak możemy walczyć z tym najprostszym i najjaskrawszym aspektem zagrożenia – z demografią? Sama demografia bowiem sprawi, że za kilkadziesiąt lat kraje Europy będą miały większości muzułmańskie.

Można się zastanawiać, czy wszystkie te plagi są wynikiem „twórczej destrukcji”, naturalnym i być może nieuniknionym skutkiem rozwoju liberalnych demokracji, czy także skutkiem utopijnej wiary w postęp – wiary, która leży u podłoża ideologii tolerancji i multikulturalizmu. Choć postęp nie musi być równoznaczny ani z lewicą, ani z odrzuceniem wartości europejskiej cywilizacji, zdaje się jednak panować powszechne założenie, że właśnie z tym jest on nierozłącznie związany – a także z inżynierią społeczną, ze sztucznym tworzeniem pracy i regulowaniem rynku, z narzucaniem praw i cenzurą. Oczywiście wtedy życie jest (dla niektórych) łatwiejsze – tak samo, jak życie niewolnika jest w pewnym sensie łatwiejsze: bez odpowiedzialności, bez potrzeby – bo bez możliwości – wyboru. Ale mnożące się reguły i rozszerzające się państwo opiekuńcze, „prawa człowieka” i prawa grupowe, zakazy z jednej strony i pobłażliwość z drugiej, osłabiają społeczeństwo i sprawiają, że jest niezdolne do obrony przed zagrożeniem. Zresztą, skoro nie ma już żadnych wartości, nie ma też czego bronić. W ten sposób przybliża się stan *dhimmi*, w jakim już niedługo, nim się ockniemy, możemy się znaleźć. Warto też zauważyć,

że te prawa i reguły, zakazy i przywileje są jak miotła czarnoksiężnika: w naturalny sposób się mnożą. Gdy tylko uznajemy prawnie interes jakiejś grupy, natychmiast pojawiają się inne, z własnymi roszczeniami prawnej ochrony swoich interesów.

Lecz gdy działa wolny rynek, kwitną też wolne społeczeństwa: stają się silniejsze. Wolny rynek krzewi rozmaite cnoty, które dla zdrowego, silnego społeczeństwa są niezbędne: odpowiedzialność, przedsiębiorczość, dotrzymywanie obietnic, szanowanie umów (a zatem także szacunek dla innych). Rynek w naturalny sposób stwarza własną równowagę. Podobną równowagę stwarza, przez naturalne mechanizmy, społeczeństwo wolne od nadmiernych regulacji i ciężaru zbytniego interwencjonizmu państwa.

Unia Europejska jest słaba, ociężała i nieudolna z natury: nie tylko przez świadomie przyjętą ideologię poprawności politycznej ani przez korupcję, lecz przez to, że tak wielka, scentralizowana biurokracja, której ambicją jest zarządzać wszystkim, nie może krzewić wolności ani odpowiedzialności. Dlatego wśród licznych ostatnio książek na temat wojny kultur jedynie u amerykańskich autorów można znaleźć iskrę optymizmu; europejskie prognozy są jednolicie ponure. W Stanach Zjednoczonych bowiem nad równowagą w nieuniknionym i starym jak świat napięciu między wolnością i równością czuwa konstytucja. To konstytucja gwarantuje wolność indywidualną i równość wobec prawa. Dlatego tak niepokojące wydają się jej nadużycia w celu legitymizacji roszczeń lewicowych ideologii, które burzą tę delikatną równowagę, uznając prawa grupowe i pozytywną dyskryminację. Trzeba jednak ufać, że konstytucja jest dość silna, by tę równowagę odzyskać. I większość Amerykanów chyba w to ufa.

Alain Finkielkraut napisał, że antyrasizm niedługo stanie się tym samym, co komunizm w XX wieku. Teza ta wydaje mi się zbyt optymistyczna. Po pierwsze dlatego, że od dawna jest to hasło, za którym kryje się wszechobejmująca antyzachodnia (a często także antysemitka) ideologia, łącząca postępowców świata; od dawna zadaniem słowa „rasizm” jest piętnowanie wszystkiego, co europejskie czy zachodnie. Po drugie dlatego, że gdy Europa stanie się muzułmańska – a stanie się to bardzo prędko, w ciągu kilku pokoleń – nie będzie już żadnej ideologii antyrasizmu; przeciwnie, będzie prawdziwy, całkiem otwarty, zinstytucjonalizowany rasizm, rasizm co się zowie, bez żadnych ogródek, antychrześcijański i antysemitki. O żadnej poprawności politycznej też nie będzie mowy; jedyną poprawnością będzie szariat, islamskie prawo. Nie pomogą nam w tej walce pobożne hasła o tolerancji.

Wolność ekonomiczna i polityczna, nie „tolerancja” i multikulturalizm, jest – wraz z równością wobec prawa – podstawą zdolności naszej cywilizacji do przetrwania; ideologia multikulturalizmu zaś idzie nierozłącznie w parze z ideologią, która wolności (a także równości wobec prawa) nie cierpi. Do niedawnych zamieszek pod Paryżem doszło między innymi dlatego, że we Francji panuje bezrobocie, które bez liberalizacji gospodarki jest nieuleczalne. Trzeba oczywiście skończyć z pobłażliwością, potępiać bezprawie i uczyć odpowiedzialności; lecz trzeba też skończyć z polityką gospodarczą, która wytwarza bezrobocie i prowadzi bezpośrednio do skutków, które widzimy. Polityka społeczna i gospodarcza muszą – wydaje się to oczywiste – nawzajem na siebie wpływać: polityka społeczna, oparta na rozszerzaniu roli państwa opiekuńczego, i polityka gospodarcza, która tłumi przedsiębiorczość i dławi rynek, są ściśle związane przyczynowo i razem prowadzą do tych samych zgubnych skutków. Obie zakładają

ogromną rolę państwa; obie osłabiają poczucie odpowiedzialności; żadna z nich przedsiębiorczości ani samodzielności krzawić nie może. Widać to w Anglii, gdzie niby panuje „dziki liberalizm” ekonomiczny, ale ideologia multikulturalizmu i mnożące się w groteskowy sposób macki państwa opiekuńczego i scentralizowanej biurokracji – która coraz bardziej zaczyna przypominać francuską – zaczynają wolny rynek dławić. Tak samo, *mutatis mutandis*, we Francji, gdzie ideologia multikulturalizmu na razie nie jest aż tak widoczna, lecz postępuje wskutek bezrobocia, które z kolei jest skutkiem polityki ekonomicznej.

Nie sposób tych rzeczy rozłączyć; nie sposób, na dłuższą metę, liberalizować rynku bez liberalizacji polityki społecznej i zmniejszenia roli państwa. Nie ma „trzeciej drogi”. Jeśli Europa nie przeprowadzi radykalnych reform politycznych i gospodarczych, być może za kilkadziesiąt lat nie będzie już istnieć.

Wspomniałam na początku o duńskich karykaturzystach, ukrywających się w strachu przed islamskim odwetem. Sprawa karykatur Mahometa, opublikowanych w duńskiej gazecie „Jyllands-Posten”, wybuchła w październiku. Potem na pewien czas ucichła; teraz nagle wybuchła znowu, w spektakularny sposób. Wczoraj spłonęła duńska ambasada w Bejrucie, przedwczoraj w Damaszku. Palestyńczycy palą duńskie flagi (na których, warto przypomnieć, jest krzyż). Dziś nie sposób już wyliczyć, co gdzie płonie; co chwila napływają wiadomości o kolejnych rozruchach, atakach, a nawet zabójstwach. W europejskich miastach odbyły się marsze i demonstracje, na których muzułmanie trzymali plakaty, nawołujące do zarzynania niewiernych. Były też plakaty z

hasłem: „Precz z wolnością!”. Szerzy się przy tym, niczym jakaś zakaźna choroba umysłowa, międzynarodowa gorączka przepraszania. Wobec tego rozwoju wydarzeń narzuca się krótkie postscriptum.

Tydzień temu francuska gazeta „France-Soir” przedrukowała duńskie karykatury. Niektórzy Francuzi, zbudowani tym gestem, już zaczęli ochoczo skandować „*Nous sommes tous des dessinateurs danois*”. Następnego dnia właściciel „France-Soir” (Egipcjanin) wyrzucił redaktora i zabawa się skończyła. Gdy zamiar przedrukowania karykatur ogłosił francuski tygodnik „Charlie-Hebdo”, organizacje muzułmańskie we Francji natychmiast odwołały się do sądu, próbując zakazać publikacji. Francuskie sądy uznały jednak, na szczęście, że nie będą się bawić w politykę: trybunał odrzucił sprawę ze względów formalnych. Numer z karykaturami ukaże się jutro. Można się spodziewać, że sądy francuskie zostaną oskarżone o rasizm i że protesty się zaostrzą. Decyzja sądów spotka się z tym samym oburzeniem, które spotkało pierwotną, październikową wypowiedź duńskiego premiera, gdy oświadczył, że skoro w Danii obowiązuje wolność prasy i praworządność, on nie może niczego zakazać; jedynie sąd mógłby rozpatrzyć tę sprawę.

Protestującym muzułmanom nie chodzi jednak o to, by w ramach demokratycznego i praworządnego państwa niezawisłe sądy broniły ich prawa do „szacunku” na równi z resztą społeczeństwa; świetnie przecież wiedzą, że nikt inny takim „prawem do szacunku”, narzuconym przez cenzurę, nie dysponuje. Na pewno nie dysponują nim chrześcijanie. Ani żydzi. Chodzi im o to, by europejskie państwa wprowadziły cenzurę i narzuciły islamskie prawo. Redaktorzy gazet w

krajach muzułmańskich, które opublikowały te karykatury – a było ich kilka – siedzą już w więzieniu; protestujący muzułmanie najwyraźniej uważają to rozwiązanie za normalne i pożądane.

Okrzyki demonstrujących muzułmanów – „Precz z wolnością!” – były szczere. Wolność (w odróżnieniu od tyranii) nie jest w muzułmańskiej tradycji wartością; największą wartością jest islamskie prawo. Obecne wydarzenia świadczą dobitnie o tym, że – raz jeszcze trzeba to powtórzyć – islamu nie da się pogodzić z demokracją. Islam z ludzką twarzą, islam w wersji *lite*, złagodzony, unowocześniony, dostosowany do życia w zachodnich demokracjach, jest niemożliwością – taką samą, jak zreformowany komunizm. Złudna jest nadzieja, że wystarczy poczekać, pójść na ustępstwa, chronić „umiarkowanych” przed manipulacją ekstremistów, a „umiarkowani” pokonają integrystów i wszyscy będziemy żyć razem w harmonii i zgodzie, niebywale wprost się nawzajem szanując. Każde kolejne ustępstwo to pokazuje: prowadzi jedynie do dalszych roszczeń.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że duńskie karykatury nie są w żadnym sensie rasistowskie: nie są to karykatury muzułmanów. Ani, oczywiście, Arabów. Są to karykatury Mahometa: jedna przedstawia go z bombą, druga – uzbrojonego, w towarzystwie kobiet w czadorach, trzecia na pustyni. Inna potępia cenzurę islamskich rządów. Są wśród nich może (a nawet na pewno) karykatury głupie, prymitywne i wulgarne. I zapewne są dla muzułmanów obraźliwe. Ale wiele jest w gazetach rzeczy głupich, prymitywnych i wulgarnych; ubolewamy nad tym codziennie, lecz nie domagamy się cenzury. Dużo jest też, na każdym kroku, rzeczy obraźliwych dla chrześcijan i żydów; nad tym też ubolewamy, lecz nie domagamy się cenzury. Przypomnijmy też, że religia nie jest rasą; krytykowanie islamu nie jest rasizmem.

Nie jest jednak jasne, czy naprawdę o „obrazę” chodzi. Na początku o obrazie w ogóle nie było mowy; protestującym chodziło o to, że gazeta opublikowała wizerunek Mahometa – czego islam zakazuje (choć nie jest to – o czym świadczą m.in. średniowieczne perskie miniatury, przedstawiające Mahometa – zakaz w ścisłym sensie, a raczej tradycja, odbierana jako zakaz przez integrystów). Ale islam zakazuje też sporo innych rzeczy, na przykład picia alkoholu i jedzenia wieprzowiny. Być może niedługo odezwą się głosy, że tych czynności też powinniśmy zaprzestać? Byłoby to logicznym następstwem, i wiele pozwala sądzić, że takie głosy rychło się pojawią. Oczywiście będzie to następować stopniowo: może się zacząć, na przykład, od protestów przeciwko reklamom alkoholu, wieprzowiny itp., potem przeciwko ich publicznej konsumpcji, potem przeciwko handlowi tymi rzeczami. Prawdopodobieństwo takiego scenariusza, stopniowo się rozwijającego, nie jest nikłe.

Protesty przeciwko karykaturom są pokazem siły: świadomą próbą kolejnego kroku ku islamizacji Europy. (Innym takim krokiem – jednym z wielu – było zabójstwo filmowca Theo van Gogha. Jego też poprawni politycznie potępiali jako „rasistę”, oskarżali o „obrazę”, twierdzili, że sam sobie był winien, kręcąc film, który był krytyczny wobec islamu). Szereg rzeczy o tym świadczy: można wśród nich wymienić tajemniczą obfitość duńskich flag w Gazie, leżących wygodnie pod ręką, gotowych do podpalenia; dodatkowe karykatury, ohydnie rasistowskie, które nie były dziełem duńskich karykaturzystów, lecz równie tajemniczym sposobem znalazły się wśród tych, które islamiści rozsyłali po świecie w próbie rozniecenia buntu; i wreszcie teraz rozszerzenie rzekomych powodów niezadowolenia. Teraz bowiem się okazuje, że chodzi nie tylko o publikację zakazanego przez Koran wizerunku Mahometa, lecz także o obrazę islamu przez „utożsamianie go z przemocą”. Trudno nie

podejrzewać, że te protesty zostały rozniecone w sposób zamierzony. Są częścią walki o władzę – o islamizację Europy i *dhimmizację* jej niemuzułmańskiej ludności.

Nie należy się spodziewać, że ci, którzy w „obronie” Mahometa przed tym „utożsamianiem z przemocą” zabijają i podpalają, chcą zakazywać i cenzurować, spostrzegą w swoich poczynaniach jakąkolwiek ironię, sprzeczność czy przeciwnskuteczność. (I trzeba przyznać, że – istotnie, nie wydają się one przeciwnskuteczne: choć na temat tej dość uderzającej sprzeczności ukazało się w prasie trochę komentarzy, żaden przedstawiciel żadnego państwa nie uznał za stosowne wspomnieć o niej w swoich reakcjach z tych wydarzeń; przeciwnie, wciąż słyszeliśmy tylko pochwały islamu jako religii pokojowej). Nie należy też spodziewać się od nich wrażliwości na hipokryzję, zawartą w ich roszczeniach „szacunku”, w obliczu dość szczególnej formy szacunku, jakim cieszą się chrześcijanie i żydzi w krajach muzułmańskich. W ogromnej większości tych krajów wszelkie religie poza islamem są tępione; chrześcijanie są w nich prześladowani; żydom na ogół nie wolno nawet do nich wjeżdżać. Do niektórych z nich nie wolno nawet wwozić Biblii. (Ciekawe, co by było, gdyby zakazano wwożenia Koranu do krajów europejskich). W Arabii Saudyjskiej, we wszystkich prawie krajach Zatoki Perskiej, w Iranie i w Egipcie, antysemickie karykatury – bynajmniej nie w wersji *lite*, lecz w wersji hitlerowskiej (która zresztą jest źródłem nowoczesnego arabskiego antysemityzmu), prosto z „Der Stürmer” – ukazują się codziennie w gazetach, w książkach i w telewizji. Protokoły Mędrców Syjonu są powszechnie przyjęte jako prawdziwe. Równie powszechna jest negacja Holocaustu. Iran oficjalnie ogłosił, że chce zniszczyć Izrael. Wielu islamskich integrystów oficjalnie deklaruje, że ich celem jest zniszczenie Zachodu i zawładnięcie nim. Teraz irańska gazeta, niby w reakcji na duńskie karykatury, rozpisała konkurs na karykatury o

Holocaustie. Miało to być postrzegane jako silny odwet. Też mi skandal. Jakby czegoś takiego w Iranie – Iranie, gdzie antysemityzm jest oficjalną polityką – nigdy nie było. Podobne rzeczy są tam na porządku dziennym.

Szokujące jest coś innego: że tak wielu na Zachodzie daje się nabrać na tę monstrualną obłudę. Szokująca jest rozpowszechniona akceptacja groteskowego zrównania: karykatury Mahometa – karykatury o Holocaustie. (Choć zważając na to, że zachodnia lewica rutynowo porównuje Stany Zjednoczone i Izrael do Niemiec hitlerowskich, nie powinno to może dziwić). Szokująca jest bezmyślna akceptacja równań, jakie nam wpaja indoktrynacja multikulturalną i różnorodnościową poprawnością polityczną: takich, na przykład, że krytykowanie islamu jest rasizmem, dokładnie takim samym jak hitlerowski antysemityzm. Szokująca jest łatwość, z jaką akceptujemy cenzurę i kłamstwa; łatwość, z jaką godzimy się na fałszowanie historii. I szokujące jest, że nadal, nawet teraz, nikt nie chce słuchać tych islamistów, którzy z podziwu godną szczerością wypowiadają się na temat swoich celów.

Polityka multikulturalizmu i „szanowania różnorodności” wypacza historię, niszczy demokrację, lekceważy praworządność i wolność słowa – i pozwoli islamistom wygrać tę walkę. Ideologia poprawności politycznej jest z natury, z założenia, antyzachodnia i antydemokratyczna; słowa „różnorodność” i „multikulturalizm” są narzędziem manipulacji i od początku tę rolę pełniły. Obecne wydarzenia dobitnie o tym świadczą.

Agnieszka Kołakowska

2006

Tekst jest fragmentem książki "Wojna kultur i inne wojny", za którą autorka otrzymała nagrodę im. Andrzeja Kijowskiego

[1] O historii kontaktów między muzułmańskimi krajami i Europą bardzo ciekawie pisze orientalista Bernard Lewis m.in. w książce *What Went Wrong? The Clash Between Islam and Modernity in the Middle East*, Weidenfeld & Nicolson, Londyn, 2002.

[2] O islamie w Ameryce, o historii wojującego islamu i o pojęciu dżihad pisze Daniel Pipes w szeregu artykułów (1999, 2001, 2002) w amerykańskim piśmie „Commentary”.

[3] Gertrude Himmelfarb, *One Nation, Two Cultures*, Random House, New York, 2001.